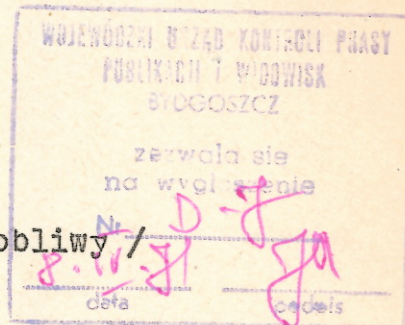


Tadeusz Petrykowski
Redakcja: Literacka

769
Dnia 13. IV. 91
Godz. 17⁴⁵ - 17⁵⁵

JA, ŚWINKA MORSKA ...

/felieton nie całkiem żartobliwy/



RA
Mam zapewnioną opiekę lekarską, jestem ubezpieczony i opłacam składki emerytalne. Prowadzę umiarkowany tryb życia, prawie nie używam alkoholu, zarabiam poniżej tysiąc złotych na członka rodziny, myję zęby i nogi, - gdyby nie nałogowe palenie "Sportów" i przykry charakter poszedłbym pozować jakiemuś rentgenologowi do zdjęcia w charakterze pozytywnego modelu statystycznego Polaka.

O papierosy mniejsza, z państwowego monopolu, a charakter - sam nie wiem, od czego mi się wypaczył. Jestem bowiem podejrzliwy i to mi chyba zostało jeszcze z trudnego dzieciństwa.

Ostatnio pracuję w chemii i jako szeregowy członek Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Chemicznego mam prawo, a poniekąd i obowiązek, podkreślać pozytywne nowocześnieści związanej z chemią. Wielką Chemią - bowiem muszę dodać, że pracuję w wielkim zakładzie chemicznym. Czytuję więc "Przegląd Chemiczny", a także "Twojego Przyjaciela" czyli czasopismo poświęcone sprawom bhp, oczywiście także i gazetkę zakładową, choć - jak niemal wszystkie one - piekielnie nudną,

9771

i dwa razy przynajmniej dziennie, czytam to nasze hasło przed tolerującym moją obecność i pracę zakładem: "Chemia żywi, leczy, ubiera."

Z tym ubieraniem nie ma żadnej przesady, wystarczy wstąpić do jakiegokolwiek sklepu tekstylnego MHD lub PSS: tu torlenik, tam elana, elanobawełna, stylon, nylon, szyfon, non-iron, elastyc i plastic - po prostu do wyboru, do koloru.

Od stóp do głów. Ze stopami trochę gorzej. Już w dzieciństwie nowiutkie i wygodne grudziądzkie pepegi tak mi podparzały nogi, że wróciłem z wycieczki - wujkowi "na barana", po sklepach myszkuję tylko za bawełnianymi skarpetkami / bywały kiedyś jedwabne - jakie miłe i chłodzące, sliskie na stopie, bywały, ale nie ma/, niektóre rodzaje bielizny powodują, że zachowuję się dość podejrzanie, a o elanowych spodniach często wyrażam się niewłaściwie, nie jak członek Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Chemicznego. Tak samo wyrażałem się na temat okładek plastikowych, na które ²okazał się ⁴uczulony ¹jeden z moich synów ³do tego stopnia, że długo jego krwawiące dłonie trzeba było obwiązać bandażami, lecząc go starannie pastylkami, ¹to smarując ~~go~~ maścią.

A owe pastylki i mascie to właśnie chemia. A więc ubiera, a teraz leczy - wykrzyknie mój bardziej uświadomiony związkowy towarzysz.

Oczywiście - odpowiadam. Ileż to ja przecież tych pastylek nie nałykałem się - wszystko chemia. Prawie od pół wieku wpychano, wlewano, wcierano i wstrzykiwano we mnie specyfiki, których nazw już nie pamiętam, a których zresztą większość spotkałbym dziś w książce, do brze znanej aptekarzom, grubej, wciąż uzupełnianej, wzbogacanej dziesiątkami i setkami nowych pozycji - mianowicie w wykazie leków wycofanych. W większości tych leków dopatrzone się - co potwierdziła praktyka (z pogrzebami włącznie) - właściwości szkodliwych dla zdrowia, między innymi dla mojego zdrowia. O ile więc dziś czytam tę książkę z niejakim rozrzewnieniem, spotykając tam nazwy leków, którymi mnie jeszcze niedawno - jako najskuteczniejszymi hojnie karmiono, nacierano i szpikowano, to jeszcze większą radością napawa mnie fakt, że przecież nie wszystkie z tych specyfików o pięknych nazwach dotarły do mojego wnętrza. Nie na wszystkie choroby zapadałem, a i w tych, które przechodziłem, leczyli mnie bywało, czasem - także lekarze podobni do mnie, nieufni, podejrzliwi wobec nowości, słowem zacofańcy, którym, kto wie, czy nie

zawdzięczam życia. No, powiedzmy, połowy. Bo drugą połowę życia
zawdzięczam tym lekom, które jednak pomogły. A trochę swojemu
organizmowi, który mimo tych leków - wytrzymał. I być może temu,
że czasem i ja sam - kurowałem się w sposób godny naukowego
potępienia.

Na polu leczenia byłbym więc z chemią na "zero do kółka",
można ^{nie} ze spokojem pomyśleć o tym, jak mnie chemia żywi.

Spokój mój pochodzi z faktu, iż od lat podlegam żywieniu zbioro-
wemu, gdzie, jak wiadomo, króluje sielska ziemniaczano-wieprzowa
tradycja, podmarynizowana filetem z dorsza czy karmazynem na
Palmie. Podtrzymując w ten sposób swoje siły biologiczne z niechę-
cią tylko wspominam tyleż częste, co naogół bezskuteczne alarmy
w sprawie popełnianego w skali światowej tzw. naruszenia biolo-
gicznej równowagi na tym najlepszym ze światów. Starczy przypomie-
ć osławione DDT, którym świat, jak wiadomo, urządził się na cacy,
o czym również morza i oceany świata - świadczą mają ^{przez} na lata.
Fenole i im podobne sympatyczne substancje płyną strumykami do
rzeczózek, czasem robi się z tego rabanale tylko wtedy, gdy coś
szpetnie zacuchnie, albo rybki zaświecą białymi brzuskami.

Ile tych przecieków etc. pozostanie chemiczną tajemnicą naszego rozwijającego się przemysłu, dowiemy się może znów poniewczasie. Przemysłowi w sukurs przychodzą także inni partnerzy owego procesu, m.innymi ogrodnicy. Nie tylko owocowi grosiści obcokrajowi, posypujący dla konserwacji owoce proszkami o dość trujących własnościach, ale i grządkowi tuziemcy, spryskujący np. drzewa i owoce środkami niejednokrotnie toksycznymi, nie przestrzegając wyraźnych ostrzeżeń, zawartych w instrukcjach użycia owych specyfików. Beztrosko traktuje się nieraz np. truskawki niemal bezpośrednio przed dostarczeniem ich na rynek. Środkiem, o którym przepis na opakowaniu głosi, że opryskany tym preparatem owoc nie może być spożyty wcześniej, niż w kilka dni po tym zabiegu, inaczej pociągnąć to może poważne następstwa dla zdrowia konsumenta. Ale - byle handel szedł.

Zbyt łatwo, zbyt pohopnie, zbyt naiwnie ulegamy reklamom ^{owym} ~~nowym~~ ^{nowym} pomysłom nowoczesności Wielkiego Świata i serwujemy nie tylko zresztą w dziedzinie chemii, jego świecidełka, lansowane jako ostatnie słowo nauki i techniki. Skoro nasz państwowy przemysł sfabrykował coś, co bywa często zmałpowanym /nawet b. wiernie/ produktem prywatnego wytwórcy Wielkiego Świata, uznanie publiczne, że państwowo wyprodukowany towar jest już nie tandetą ale czasem szkodliwym draństwem,

uchodzi przeważnie za podważenie samej instytucji państwowego przemysłu. Odstępstwa od tego wstydliviego milczenia robi się w wypadkach wyjątkowej szkodliwosci specyfiku, a i to wówczas, gdy przez świat już od dawna toczy się przeciw niemu cała kampania.

Ciekaw jestem, na przykład, kiedy nasz konsument dowie się, że jedna z ostatnich zdobyczy chemii w gospodarstwie domowym: enzymowe środki piorące / u nas reprezentuje te środki m.in. poszukiwany przez nasze panie proszek "E" / zostały jako wysoce szkodliwe dla zdrowia odrzucone przez naukowców amerykańskich.

Nie ustały ataki materialnie zainteresowanych firm prywatnych na owe diagnozy lekarskie. Wydaje się, że mniej ufności do reklamowych prospektów, (często zresztą tracących bluffem), przydałoby się nam - w tych zwłaszcza dziedzinach, gdzie chodzi o rzecz tak ważną jak zdrowie i życie ludzkie.

Chętnie korzystam z nowoczesnego sprzętu, środków i metod. Ale niechętnie łapię się na tym, (a zdarza mi się to raz po raz), że dla owej nowoczesności, dla jej rosnących w potęgę rzeczników, staje się - cóż stąd, że razem z nimi - eksperymentalną świnką morską.

Bagatela: przeszło 32 miliony morskich świnek w naszym kraju ... Jest chyba o czym podumać.